

Dowody lustracyjne

Podczas trwającego blisko dwadzieścia lat procesu lustracyjnego oskarżeniu nie udało się udowodnić mojej rzekomej współpracy z SB, natomiast o braku tej współpracy świadczą poniższe, ujawnione w postępowaniu lustracyjnym główne fakty (pomijam drobniejsze):

1. Wedle oceny IPN, opartej jedynie o teczkę „Lecha” współpracowałem tajnie z SB od 1 września 1969 r. (data dla mnie symboliczna) do 9 lipca 1984 r. (co przedłużono do 4 sierpnia). Z koleiteczka SOR „Oszust”, znajdująca się również w archiwum IPN, obejmuje materiały, uzupełnione i wsparte wszystkimi innymi źródłami - świadczące, że w okresie co najmniej od lutego 1977 r. do 19 czerwca 1984 r. byłem niezaprzeczalnie ścigany i więziony przez SB za aktywną działalność opozycyjną, polegającą m. in. na założeniu wrogich PRL organizacji: „Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce” (25 marca 1977 r.) oraz partii politycznej „Konfederacja Polski Niepodległej” (1 września 1979 r.), za co zostałem skazany na 7 lat więzienia, gdzie przebywałem od 23 września 1980 r. do 4 sierpnia 1984 r.

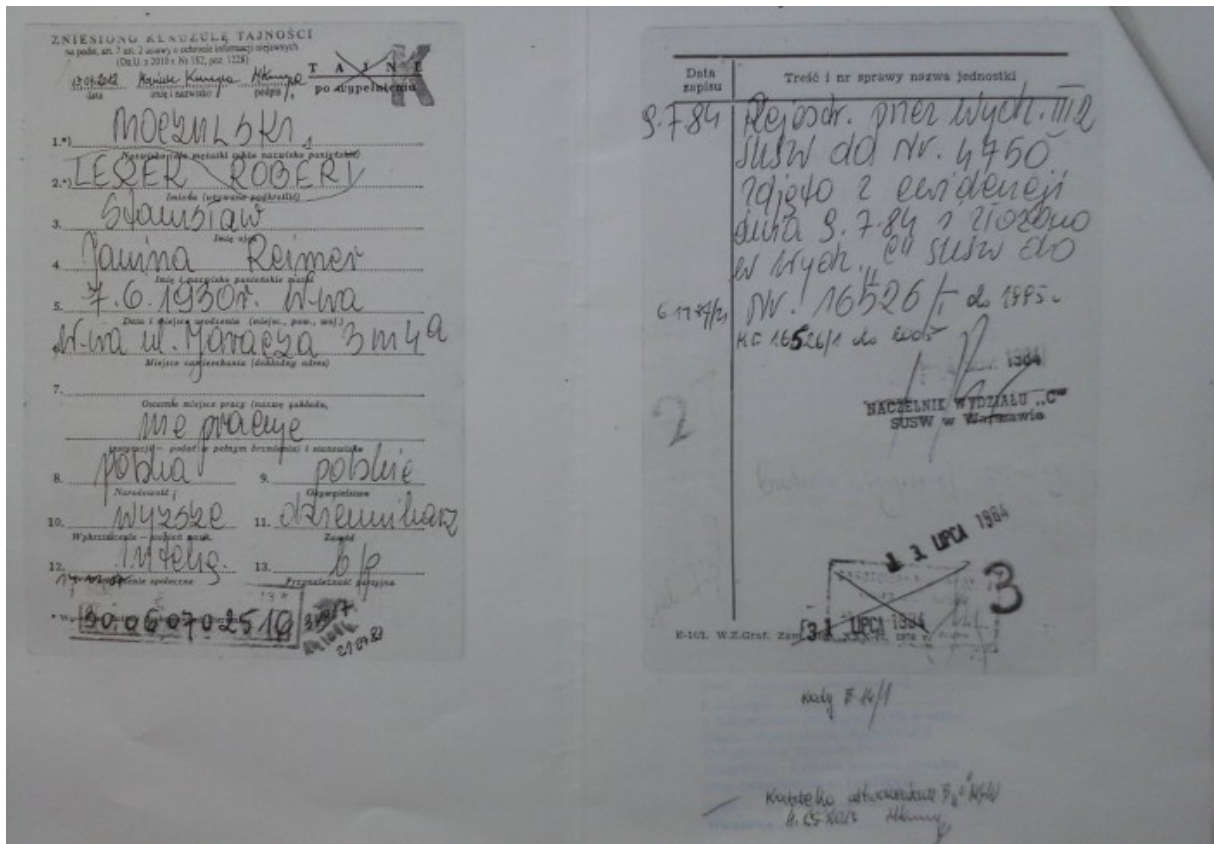
2. Przedłużenie przez IPN okresu rzekomej współpracy TW „Lech” o ponad sześć lat jest niewątpliwym i niezaprzeczalnym oszczerstwem. Z wszystkich zachowanych akt SB dotyczących względnie wzmiankujących LM wynika niezbicie, że w tym czasie byłem organizatorem i przywódcą drugiej co do wielkości, a pierwszej co do zakresu żądań organizacji opozycyjnej, że należałem do węższej grupki osób zatrzymywanych często i wielokrotnie na 48 godzin, że byłem pierwszą osobą aresztowaną po Sierpniu 1980 r., że otrzymałem wyrok sądowy 7 lat więzienia (a później jeszcze 4) - najwyższy w całym okresie 1976-1989 i że w więzieniu przebywałem sześć lat - najdłużej z wszystkich skazanych w tym czasie. Co więcej, byłem jedyną osobą, której aresztowania domagało się Biuro Polityczne KC KPZR i osobiście Leonid Breżniew, traktujący to jako dowód wiarygodności przywódców PZPR - Stanisława Kani i Wojciecha Jaruzelskiego.

Powyższe nie tylko dowodzi oszczerstwa obejmującego lata 1977 - 1984, lecz również podważa zasadniczo zarzut rzekomej współpracy z SB we wcześniejszym okresie, oparty jedynie o teczkę "Lech". Zbadajmy więc ten dowód dokładnie.

3. W toku prowadzonych badań Instytut Pamięci Narodowej najpóźniej w 2000 r. ustalił kryterium, pozwalające odróżniać te czki fałszywe od prawdziwych. Metodę tę opisał Antoni Zieliński - wieloletni szef tajnego archiwum MSW, a następnie archiwum IPN oraz biegły sądowy, występujący w procesach lustracyjnych, który m. in. przedstawił ją Sądowi w toku postępowania lustracyjnego prowadzonego przeciwko Aleksandrowi Kwaśniewskiemu w 2000 roku. Zasada jest prosta: informacja o zarejestrowaniu danego TW powinna znajdować się w trzech miejscach, umieszczonych odpowiednio w: (1) te czce personalnej TW; (2) w spisie czynnych tajnych współpracowników prowadzonym na bieżąco przez Wydział I Biura "C" (zaprzestanie współpracy było odnotowywane) oraz (3) w Wydziale III Biura "C" (Archiwum). Jej brak w przynajmniej jednym przypadku dowodzi, że te czka jest fałszywa.

Metodę tę Antoni Zieliński stosował wielokrotnie, a także opisał w opublikowanym opracowaniu, poświęconym całej grupie fałszywych teczek TW. Sporządzali je nieuczciwi funkcjonariusze SB (czego nie odnotowywali, rzecz jasna, w Biurze "C"), aby pobierać pieniądze rzekomo dla prowadzonych przez nich współpracowników, a realnie chowanych do własnej kieszeni. Niemal całkowity brak kontroli czynił ten proceder całkowicie bezpiecznym. Jeśli poszczególni funkcjonariusze mogli fałszować bezkarnie. to tym bardziej

falszowali na rozkaz, gdyż zamiast nagany, uzyskiwali pochwałę i nagrody. W pierwszym 15-leciu istnienia UB/SB fałszowanie zarzutów było nagminne, później stosowano je raczej wyjątkowo, w specjalnie wybranych przypadkach. Otóż w 2000 r., w tym samym czasie, gdy Antoni Zieliński przedstawiał na procesie Aleksandra Kwaśniewskiego metodę potrójnego odnotowania rejestracji, w toczącym się równoległe moim I procesie lustracyjnym, zeznając przed Sądem, nie odwołał się do niej, a wręcz przeciwnie, usiłował skierować uwagę Sądu w innym kierunku, twierdząc, że numerację kart rzekomo ktoś wytarł i wpisał nową. Była to już druga ujawniona ingerencja w materia dowodowy. Do pierwszej doszło jeszcze w postępowaniu przygotowawczym, gdy sporządzono kserokopię zachowanej karty ewidencyjnej w taki sposób, aby nie były widoczne dopiski sporządzone w Biurze "C" MSW [zob. załącznik nr 1]. Pierwszy z nich, sporządzony w wydz. I (kartoteka) brzmiał "nie ma czynnej sprawy", drugi, sporządzony w wydz. III (archiwum) - "jak(o) fig?". Dostrzegł to pierwszy sędzia Bareja i spowodował umieszczenie w aktach bardziej czytelnej kopii kserograficznej [zobacz załącznik nr 2]. Przez kilkanaście lat i przez wszystkie kolejne postępowania lustracyjne traktowaliśmy to jako dowód poboczny i dopiero przypadkowe odkrycie w teczkę Kwaśniewskiego opisaną przez Antoniego Zielińskiego stosowanej metody ujawniło jej kluczowe znaczenie. Oczywisty brak zapisów rejestracyjnych w obu wydziałach Biura "C" - o czym świadczą dopiski - dowodzi, żeteczka "Lecha" nie istniała wówczas (tj. w dacie sporządzenia karty ewidencyjnej), gdyż nie została zarejestrowana - a więc była fałszywa. Niestety, ustalenie tego faktu nastąpiło zbyt późno, gdy z przyczyn, które przedstawiam niżej, zmuszony byłem przerwać mój blisko 20-letni proces lustracyjny. Jedynie w ostatnim piśmie procesowym przedstawiłem Sądowi te ostateczne dowody mojej niewinności, wynikającej ze stosowanej przez SB metody trzech potwierdzeń rejestracji TW.



Pierwotna, nieczytelna kopia karty E-14 - dopiski na dole strony są niemal niewidoczne

Data zapisu	Treść i nr sprawy nazwa jednostki
<p>8.7.84</p> <p>6.11.84/2</p> <p>27</p> <p>jak fil.</p>	<p>Rejestr. pmer wych. III 2 SUSW do Nr. 4750 zdjęto z ewidencji dnia 8.7.84 i zroszono w wych. 04 SUSW do NW. 16526/1 do 1995 MC 16526/1 do 2005</p>
	<p>1984</p> <p>NACZELNIK WYDZIAŁU „C” SUSW w Warszawie</p>
	<p>brak czynnej sprawy</p>
	<p>13 LPA 1984</p> <p>31 LPA 1984</p>
<p>E-14/l. W Graf. Zam. 316. X-67. 1974</p>	

Późniejsza kopia karty E-14 (rewers) z widocznymi i czytelnymi dopiskami

4. Powyższe dowody są wystarczające dla stwierdzenia, że ani po lutym 1977 r. ani przed tą datą nie byłem tajnym współpracownikiem SB, ateczka TW "Lecha" jest fałszerstwem. Ponieważ jednak pewne fragmenty sprawy mogą być niejasne, przestawiam je również jako dowody dodatkowe. Wszystkie znajdują się w aktach mojej sprawy lustracyjnej.

A. Istotnym dowodem jest fakt, że kierownictwo MSW, które przez poprzednie kilka lat szczegółowo interesowało się moją osobą (teczki SOR "Oszust", SOR "Oszuści" i in.) we wrześniu 1980 r. nie wiedziało, że byłem - czy też jestem tajnym współpracownikiem SB oraz że istnieje teczka TW "Lech". Świadczą o tym trzy dowody.

Po pierwsze, przedstawiona w tym czasie i na żądanie kierownictwa MSW informacja III Departamentu MSW, kierującego działaniami przeciwko opozycji politycznej, podpisana przez gen. Krzysztoporskiego, opisuje mnie jako wyjątkowo szkodliwego wroga. Nie ma ani słowa, że jestem albo kiedykolwiek byłem tajnym współpracownikiem SB, ani też jakiegokolwiek wzmianki, że istnieje teczka TW "Lech".

Po drugie, w ciągu trzech dni - 18, 19 i 21 września 1980 r. ściśle kierownictwo MSW pod przewodnictwem ministra spraw wewnętrznych obradowało bezskutecznie nad uzyskaniem jakiegokolwiek dowodu, obciążającego mnie moralnie, który można przedstawić Episkopatowi, aby powstrzymać ewentualne protesty po moim aresztowaniu. Gdybym był TW, nie mieliby najmniejszego kłopotu, aby mnie skompromitować przed co najmniej niektórymi hierarchami Kościoła, a także opinią publiczną. Ostatecznie, gen. Pożoga zaproponował, że, *odszuka* dowód, że jestem agentem CIA, na co potrzebuje tygodnia czasu. Wówczas minister spraw wewnętrznych wyjaśnił, że termin jest nie do przyjęcia, ponieważ podjęli sprawę nie z własnej inicjatywy, tylko na żądanie zwierzchnictwa i są zobowiązani dokonać aresztowania najpóźniej 23 września. Ostatecznie Pożoga dostarczył pisemny *dowód*, że jestem agentem zarówno CIA jak BDN dwa dni wcześniej.

Po trzecie, już po moim aresztowaniu, do naszego mieszkania ktoś podrzucił fotokopię rzekomej instrukcji CIA/BND, zlecającą mi zadania szpiegowskie i dywersyjne. Szczęśliwie moja żona zdołała ją ukryć przed prawie natychmiastową rewizją. W grudniu 1980 r. omówienie tej instrukcji ukazało się w "Trybunie Ludu", a po rozpoczęciu latem procesu KPN nieznaną nadawcą przesłała ten fałszyfikat do Sądu. Moje wnioski, aby rozpatryć autentyczność tego dokumentu nie zostały przyjęte ani przez prokuratora, ani przez Sąd. Gdybym był aktualnym czy byłym TW, tego rodzaju manewry nie byłyby potrzebne.

B. W czerwcu, lipcu i sierpniu 1981 r., gensek Breżniew, działając na polecenie Biura Politycznego KC KPZR (składał mu sprawozdanie z mojej sprawy), domagał się mojego ponownego aresztowania (w czerwcu, po ostatniej przedśmiertnej interwencji prymasa Wyszyńskiego, zostaliśmy zwolnieni z więzienia na pięć tygodni), przykładowego ukarania i uniemożliwienia dalszego propagowania KPN z ławy oskarżonych. Była to jedyna sowiecka interwencja, wymierzona przeciwko komukolwiek w PRL, podjęta na tak wysokim szczeblu. W dodatku Breżniew traktował sprawę jako dowód wiarygodności obu czołowych przywódców PZPR - Stanisława Kani oraz Wojciecha Jaruzelskiego. Gdybym był TW, obaj mogliby się łatwo obronić przed zarzutem rzekomego liberalizmu, a nie było przecież powodu, aby ukrywać ten fakt przed sowieckim przywódcą. Interwencje Breżniewa zapisał w swym, sporządzanym na bieżąco "Dzienniku" Mieczysław Rakowski, informowany bezpośrednio przez Jaruzelskiego i Kanę.

C. W 1982 r. ukazuje się książka "KPN. Fakty. dokumenty", w której szef Biura Śledczego MSW Pudysz sugeruje, że podczas osadzenia w areszcie śledczym w 1957 r. zostałem zwerbowany jako TW. Gdyby istniała teczka TW "Lech", Zbigniew Pudysz nie musiałby fantazjować i mógłby podać główne fakty udawadniające moją współpracę z SB. Skoro tego nie był w stanie przedstawić, mamy oczywisty dowód, że nawet szef Biura Śledczego MSW nie dysponował żadnymi takimi materiałami, prawdziwymi czy fałszywymi.

5. Najpóźniej w lutym 1977 r. została założona wielotomowateczka SOR "Oszust" dotycząca mojej osoby (w zasadzie brak części wstępnej - co sugeruje, że istniała wcześniej, i zapewne w pośpiechu została tak skrócona podczas montowania teczki "Lecha"), obejmująca okres siedmiu lat (1977-1984). W tym obszernym zbiorze, przedstawiającym dość dokładnie moje działania, nie ma najmniejszej wzmianki o istnieniu teczki TW "Lech". Co więcej, w opisie prowadzonej sprawy "Oszust" przed jej przekazaniem następcy jesienią 1978 r., prowadzący ją funkcjonariusz Owczarek wyjaśnia, że nie dysponował żadnymi danymi dotyczącymi figuranta LM sprzed 1977 r. Potwierdza to spis kontaktów figuranta, umieszczony w początkowej części teczki, obejmujący wyłącznie osoby, z którymi LM stykał się w 1977 r. Tymczasem w teczce TW "Lech" tenże Owczarek występuje jako oficer prowadzący TW "Lecha" w 1976 r. Indagowany w tej sprawie przez przewodniczącego sędziego Rysińskiego (kolejny skład I procesu) i słusznie przypuszczając, że ani sędzia, ani lustrwany nie znają odpowiedniej instrukcji SB, świadek tłumaczy, że współpraca "Lecha" z SB objęta została tak wielką tajemnicą, że wiedzieli o tym tylko dwie osoby: on sam i szef III wydziału SB Komendy Stołecznej płk. Maj, który być może powiadomił o tym ministra spraw wewnętrznych, ale tylko ustnie, a nie pisemnie. Na kolejne pytanie sędziego, czemu - jeśli to była tak wielka tajemnica, podczas kryzysu wewnętrznego w Ruchu Obrony latem 1978 r. świadek organizował rozpowszechnianie plotek, że LM jest TW, Owczarek nie potrafił dać żadnej odpowiedzi.

Ostatecznie, ujawnienie przed Sądem, jaka była procedura rejestracji TW dowiodło, że zeznania Owczarka były kłamliwe, co potwierdziły fałszywe zeznania zarówno jego oraz drugiego świadka - funkcjonariusza SB Matulewicza (prowadził teczkę "Dziadek" i stąd miał informacje również o mnie) w II procesie; m. in. obaj nie wiedzieli, w jakim celu powołano teczkę "Lech" i podawali błędne przyczyny. Matulewicz twierdził, że teczka dotyczyła inwigilacji tygodnika "Stolica" (w teczce "Lech" nie było informacji na ten temat), a Owczarek nie wiedział, że dotyczyła formalnie kontroli Mariana Barańskiego. Sytuację "uratowała" sędzina X (wg. Lecha Kaczyńskiego córka naczelnego redaktora organu KC PZPR "Trybuny Ludu"), przerywając rozprawę i przekazując teczkę "Lech" świadkom, *"aby odświeżyli sobie pamięć"*. Na następnej rozprawie byłem nieobecny (obłożna choroba, potwierdzona świadectwami lekarskimi) i korzystając z nieobecności obrony, obaj świadkowie złożyli zeznanie zgodne z udostępnioną im teczką.

Do czasu przerwania postępowania w 2018 r., sprawa prawdziwości zeznań złożonych przez tych głównych świadków oskarżenia nie była rozpatrywana.

6. Wszyscy funkcjonariusze SB prowadzący teczkę SOR "Oszust" przeciwko LM, a także inne teczki, w których moje nazwisko występowało (SOR "Oszuści", SOR "Hazardziści" itd) nie wiedzieli, że miałem być tajnym współpracownikiem SB. Nie ma też najmniejszego śladu w aktach, aby w Wydziale III KS MO, w departamencie III MSW oraz w kierownictwie politycznym państwa ktokolwiek wiedział, że LM - jest lub był tajnym współpracownikiem SB. Dopiero oficer Służby Bezpieczeństwa, prowadzący jako ostatni teczkę SOR "Oszust" i archiwizujący ją wiosną 1984 r. dowiedział się o tym w czerwcu tego roku, gdy dostał do archiwizacji teczkę personalną TW "Lech" (teczka pracy nie była jeszcze gotowa - o czym niżej).

7. Teczka personalna TW "Lech" sporządzona została w całości przez trzech funkcjonariuszy SB: Kijowskiego, Matulewicza i Owczarka. Wyjątkiem były dwa podpisy rzekomo pochodzące ode mnie. Pierwszy został złożony pod krótką informacją pisana na maszynie. Sędzia Bareja - jako pierwszy rozpatrujący moją sprawę lustracyjną, skierował ten podpis do wydziału kryminalistyki MSW celem zbadania jego autentyczności. Odpowiedź nadeszła na

początku stycznia 2000 r.: podpis jest fałszywy, nie został sporządzony ręką LM - co wywołało duże zamieszanie i ponad półroczną przerwę w postępowaniu. W II Procesie sędzina X skierowała podpis do kryminalistyka - profesora UW z pytaniem, czy ja mogłem celowo złożyć sfałszowany podpis. Odpowiedź była prosta: teoretycznie jest to możliwe, ale w tym przypadku zachodzi najmniejsze możliwe prawdopodobieństwo. Sędzina nawet nie zastanowiła się, w jakim celu miałem fałszować ten podpis: aby oszukać bezpiekę, że jestem TW, a w rzeczywistości donosić ochotniczo? Przecież nie mogłem przewidzieć, że kiedyś będzie jakaś lustracja.

Drugi dokument był autentyczny: kartka papieru z tekstem *kwituję odbiór 1000 zł* i ze słabo czytelnym podpisem *Leszek Moczulski* oraz datą *31 grudnia 1975 r.* Górna połowa kartki, na której umieszczone było nazwisko dawcy, odbierającego pokwitowanie, został przez kogoś bardzo starannie, choć widocznie oderwana, a na kartce dopisano ołówkiem dyspozycję adresowaną do wydziału finansowego MSW. Oderwanie górnej części kartki i charakter dopisku świadczyły o fałszerstwie: ktoś chciał ukryć rzeczywistego dawcę pieniędzy i stworzyć wrażenie, że przekazał mu pieniądze, ale fałszerz uczynił to nieudolnie, a w dodatku sprzecznie z obowiązującymi przepisami - jak świadczyli zgodnie świadkowie - wyżsi oficerowie SB. Obowiązywały rygorystycznie stosowane zasady: wystawione pokwitowanie musiało zawierać informacje, że pieniądze pochodzą od SB i być podpisane pseudonimem odbiorcy. Użycie nazwiska było bezwzględnie zakazane, gdyż dekonspirowało osobę, która otrzymała pieniądze. Wreszcie, wielokrotnie i stanowczo biegły Antoni Zieliński stwierdzał, że nie otrzymałem od SB żadnych pieniędzy - a więc i nie miałem powodu, aby je kwitować. Prawdopodobnie jako członek zarządu Klubu Żeglarskiego "Horyzont", działającego i finansowanego przez RSW Prasa - Książka - Ruch, pokwitowałem pieniądze otrzymane z Wydziału Socjalnego na koszty organizowanej przez nas zabawy sylwestrowej. Jeśli wierzyć sędzinie X (II proces), takich moich podpisów z archiwów RSW P-K-R zebrała ona dla celów grafologicznych kilka tysięcy (pracowałem w tej instytucji ponad ćwierć wieku).

Teczka "Lech" wypełniona została notatkami, sporządzonymi przez trzech funkcjonariuszy: Kijowskiego, Matulewicza i Owczarka (z akt wynika, że Matulewicz interesował się mną, prowadząc sprawę "Dziadek" przeciwko gen. Abrahamowi, a dwaj pozostali podejrzewali mnie o tajny udział w protestach przeciwko zmianom w Konstytucji). Początkowo (około 1/3 całości teczki) miały one nieudolnie sugerować, że pochodzą od TW. Pisane na maszynie lub ręcznie, zawierały nagłówek (data, nazwisko funkcjonariusza przesłuchującego), tekst rzekomego doniesienia, podpis LECH lub "Lech", omówienie powyższego doniesienia przez funkcjonariusza. Wszystko pisane jedną ręką - tą samą, co tytuł teczki i jej opis na 1 stronie okładki. Ponieważ niemożliwe było, aby sporządziła te odmienne treści jedna osoba, ktoś zwrócił uwagę na sztuczność zapisu i z tej manieri przy przygotowywaniu zrezygnowano.

Porównanie poszczególnych doniesień z datowanym spisem treści teczki TW "Lech" dało rewelacyjny wynik. W teczce ułożone one były w kolejności chronologicznej rzekomo prowadzących ją funkcjonariusze, w spisie treści wpisywali je ci sami funkcjonariusze - ale przemieszani, co dawało zdumiewające efekty. Dochodziło do tego, że np. Matulewicz zapisywał doniesienie z daty, kiedy jeszcze nie podjął pracy w SB, a Kijowski, gdy już został przeniesiony z wydziału III KS MO do ministerstwa. Świadczyło to, że wszyscy trzej (Kijowski wcześniej zmarł) pracowali razem nad teczką w tym samym czasie, korzystając z różnych materiałów. W trakcie tej pracy musiały napływać jakieś nowe materiały, które po przerobieniu umieszczano w pasującym chronologicznie miejscu, co wymagało zmiany numeracji stron.

Ponieważ te oczywiste błędy - niezgodność spisu z teczką, niejednolita numeracja stron, niepoprawienie niezgodności dowodzą, że prace nad tym rzekomym dowodem musiano

prować w pośpiechu, spowodowanym jakimiś nie przesuwalnym terminem W grę wchodził tylko jeden: ogłoszenie amnestii z okazji święta 22 lipca 1984 r. Ponieważ nie wprowadzono żadnych poprawek, takich jak jednolita numeracja kart czy ujednoczenie kolejności materiałów - zabrakło czasu na poprawienie błędów. Nie miało to zresztą dla fałszerzy istotnego znaczenia, gdyż w owym czasie nikt nie przewidywał upadku systemu i ujawnieniu bezpieczniackich archiwów.

8. Krótki termin sfabrykowania fałszyfikatu spowodował, że zdążono przygotować tylko teczkę personalną "Lech", pozostawiając na później teczkę pracy "Lech". Udało się jedynie ustalić, że archiwizację przeprowadził w nieznaną dacie funkcjonariusz, który najpierw służył w SB, a następnie w UOP. Dokonywał on masowej archiwizacji teczek, lecz nie znał nazwisk, tylko pseudonimy. To spowodowało, że dowiedział się, że miałem być TW dopiero po ogłoszeniu listy Macierewicza - i to nie od razu. Nie był jednak w stanie przypomnieć sobie, czy i kiedy teczkę pracy "Lecha" archiwizował.

Wiemy tylko, że ówczesny szef UOP wiosną 1991 przygotował obszerny dokument wyliczający zarejestrowanych TW i rozmiary ich teczek; teczka pracy TW "Lecha" zawiera kilkanaście doniesień. Rok później - wiosną 1992 r. było ich kilka razy więcej. Nie wiemy kto, w jakim czasie i na jakiej podstawie dokonał tego powiększenia.

9. Postępowanie dowodowe prowadzono we wszystkich trzech procesach pierwszej instancji oraz w drugim procesie drugiej instancji. Jako pierwszy i ostatni występował sędzia Y, który najpierw prowadził postępowanie przygotowawcze, a następnie był sędzią sprawozdawcą w I składzie sądu (1999-2000) oraz dwukrotnie w sądach drugiej instancji (w drugim także przewodniczącym). Ponieważ uważał wyrok sędziny "X" za nie dość przekonujący, zarządził postępowanie dowodowe, wzywając na świadków osoby podpisujące kartę dostępu do teczki "Lech". Wszyscy potwierdzili autentyczność swoich podpisów i wszyscy zaprzeczyli, jakoby kiedykolwiek zetknęli się z teczką TW "Lech". Był to wystarczający dowód, że jest to karta dostępu z jakiejś innej sprawy. Spowodowało to, że poza wezwaną pierwszą grupą tych świadków, sędzia Y zrezygnował z pozostałych.

Jedynym wyjątkiem był funkcjonariusz III Wydziału KS MO, specjalizujący się w tajnych rewizjach domowych. Wprawdzie on również nie zetknął się z teczką "Lech". Zeznał, że w początkach 1976 r. zwrócili się do niego dwaj funkcjonariusze Kijowski i Owczarek, aby włamał się do mojego mieszkania i pobrał próbki pisma z maszyny do pisania. Chodziło o ustalenie, czy na tej maszynie został napisany jeden z listów protestujących przeciwko zmianom w konstytucji. Rzeczywiście, na prośbę Wojtka Ziemińskiego taki list nieopatrznie napisałem. Nie mogłem go tylko podpisać, gdyż od września 1975 r. byliśmy w trakcie przygotowań do utworzenia jawnej organizacji opozycyjnej, tuż przed spotkaniem pięciu grup podziemnych i uchwaleniem dokumentu "U progu".

Świadek zeznał, że zgodnie z poleceniem włamał się po mojego mieszkania, pobrał próbkę pisma i przekazał je wydziałowi kryminalistyki do analizy, która potwierdziła, że list napisano na mojej maszynie do pisania. Materiały te przekazał wspomnianym funkcjonariuszom - i na tym kończy się jego wiedza o sprawie.

Otóż, gdybym był TW, wystarczyło zażądać ode mnie wyjaśnień, ewentualnie przekazania próbek pisma, ale także odnotować to wszystko w teźce TW "Lech". Nic takiego jednak nie nastąpiło.

10. Dość późno, bo pod koniec mojego procesu lustracyjnego, mój wieloletni rozmówca kawiarniany Marian Barański - występujący przed sądem jako świadek, dowiedział się, że jego *dowódca* - Kossecki, któremu składał szczegółowe raporty z rozmów, prowadzonych przez lata m. in. ze mną, okazał się TW i przekazywał je natychmiast do SB. Wprawdzie

nasze rozmowy miały charakter kawiarniany, prowadzone były w dość zatłoczonym lokalu i nie ujawniały tajemnic konspiracyjnych czy informacji szkodliwych dla kogokolwiek, lecz stanowiły odrębną kolekcję w ramach zeznań TW Kosseckiego. Niestety, jego teczka w tym zakresie, podobnie jak cała teczka Barańskiego zostały zniszczone już w pierwszej fazie czyszczenia akt przez min. Kiszczaka. Z tego, co wiem, ocalałe tylko jedna informacja Barańskiego dla Kosseckiego, który przekazał ją bez zmian SB i ostatecznie znalazła się w teczce SOR "Oszust". Dzięki niej dowiedzieliśmy się, w jak szerokim zakresie moje rozmowy z Barańskim kontrolowane były przez SB. Nie znaliśmy tylko nazwiska informatora.

To też wyjaśnia długo nie wytłumaczalne drogi, jakimi relacje z naszych kawiarnianych spotkań, starannie datowanych przez Kosseckiego i SB, na bieżąco trafiały to teczek bezpieki. Informacje o rozmowach były prawdziwe, znaliśmy je tylko mu dwaj, a więc jeden z nas musiał być TW. Ja nie donosiłem, a o tym, że Barański również nie sypał, byłem głęboko przekonany. Nie przypuszczałem też, że kawiarniane pogaduszki, nie ujawniające żadnych tajemnic, mają dla SB jakąś wartość. Okazało się jednak, że była trzecia osoba, pozornie poza podejrzeniami (jego ojciec, we Wrześniu - dowódca 18 dywizji, ciężko ranny przez Niemców, został zamordowany przez Sowietów), tak wydatnie pracująca dla SB, że MSW wzięło ją nawet na etat. To wyjaśnia, jakim kanałem nasze rozmowy trafiały do SB. Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Nawet nie znałem Kosseckiego.

11. Datę sporządzenia teczki personalnej TW "Lech" ujawnia zamieszczona na jej wstępie informacja o decyzji jej archiwizacji. Zastępca szefa Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych SUSW) zarządził jej wykonanie w lutym 1977 r. Pismo nie jest datowane - co było niedopuszczalne, lecz ma to mniejsze znaczenie wobec faktu, że Wojewódzkie Urzędy Spraw Wewnętrznych utworzone zostały w ramach reformy całego pionu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przeprowadzanej etapowo w drugiej połowie 1983 r., a Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych rozpoczął działalność w końcu tego roku. Fałszywa data archiwizacji teczki miała ukryć fakt jej wcześniejszego nieistnienia - czego dowodzą przytoczone wyżej fakty. Fałszywą teczkę trzeba było najpierw stworzyć, co wymagało czasu.

Przypomnijmy sytuację polityczną tamtego roku. Jeszcze wiosną 1983 r. Amerykanie ogłosili rozpoczęcie prac nad programem tzw. gwiazdnych wojen. Przywidywał on umieszczenie w przestrzeni kosmicznej wyrzutni raketowych, zdolnych zniszczyć sowieckie pociski międzykontynentalne (ICBM) w momencie ich wystrzeliwania z baz naziemnych. Sowietci nie mieli możliwości technicznych, aby odpowiedzieć tym samym, a zaostrzający się wyścig zbrojeń - reakcją Prezydenta Reagana na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce, zaczął przekraczać ich słabnące możliwości. Aby obniżyć poziom i koszty konfliktu, Moskwa nakazała Jaruzelskiemu zakończyć stan wojenny (za który winiono ZSRR) i przeprowadzić w 1983 r. powszechną amnestię. W więzieniach pozostało tylko kilkadziesiąt osób, w tym dwie grupy, przetrzymywane w więzieniu śledczym w Warszawie i karnym w Barczewie, łącznie około 20 osób - przywódców "Solidarności", KOR i KPN. Ponieważ Amerykanie nie odpuszczali, najpierw postanowiono zwolnić wszystkich więźniów śledczych i wydalić ich z PRL - a zatrzymać skazanych, lecz gdy to się nie udało, uwolnić wszystkich i zrezygnować z deportacji. Aby omówić tę kolejną amnestię, Jaruzelski w 1984 r. dwukrotnie wyjechał do Moskwy. Prawdopodobnie za pierwszym razem gensek Czernienko nakazał mu przeprowadzenie kolejnej amnestii, a za drugim zatwierdził proces przygotowań.

Moja sytuacja była szczególna. Zostałem aresztowany na polecenie Sowietów, a następnie gensek Breżniew traktował moje uwięzienie jako sprawę osobistą oraz sprawdzian posłuszeństwa i skuteczności Kani oraz Jaruzelskiego i domagał się najwyższej kary. Przesądzało to, że bez zgody Sowietów nie można było mnie zwolnić. Czernienko nie traktował mojej sprawy tak osobiście, jak Breżniew, toteż najwyraźniej łatwo przyjął rozwiązanie, szeroko stosowane i w Sowietach, i w PRL. *Jeżeli nie możemy go posadzić,*

skończmy go wśród swoich (AIPN 00170/193-t.5) Najprostsze: fałszywie oskarżyć, że pracował dla wroga, albo zdradzał swoich. Miałem już być agentem CIA i BND - nie wyszło. Uprowadzając fakty, przypomnę, że facet, który właśnie spędził tyle lat w więzieniu, nie bardzo nadawał się na groźnego ubeka, lecz zawsze znajdą się tacy, którzy uwierzą, albo będzie im to potrzebne.

Późna decyzja, żeby mnie wypuścić, lecz również stworzyć oszczerstwo spowodowała, że teczkę TW "Lecha" przygotowano w pośpiechu, niejako w ostatniej chwili. Główny problem wynikał z tego, że nie mogłem donosić w okresie działania opozycji, bo to wymagało jakiegoś potwierdzenia prawdziwymi faktami. Ale pod ręką była piękna kolekcja rozmów kawiarnianych, którą gorliwy agent Kossecki przekazywał systematycznie przez lata. Nie ujawniały one jakiś wielkich tajemnic, lecz i dotyczyły czasu, w którym takie tajemnice nie powstawały. Dodano do tego parę materiałów, pochodzących z różnych źródeł. Przywołajmy dwa charakterystyczne przykłady. Trzy lata po rzekomym zamknięciu i skierowaniu do archiwizacji teczek TW "Lecha", tuż po moim aresztowaniu we wrześniu 1980 r. funkcjonariusze II Departamentu MSW (kontrwywiad) przeprowadzili rewizję u Zbigniewa Wołyńskiego (obywatela USA) i skonfiskowali moje pisemne - wprawdzie niewykorzystane, polemiki z krytykami "Wojny Polskiej" z 1972 r., które oddałem Zbyszkowi na przechowanie. Ponieważ były jawne, przechowywał je na wierzchu. Zabrano je i trzymano wraz z innymi zakwestionowanymi materiałami w Departamencie II MSW; nigdy nie trafiły one do Departamentu III, a tym bardziej do Wydziału III KS MO. Gdy w 1984 r. zaczęto zbierać wszelkie dowody przeciwko mnie, aby stworzyć fałszywą teczkę, II Departament przesłał to, co miał. Ponieważ prace nad teczką "Lech" były już mocno zaawansowane, a otrzymane materiały należało umieścić w porządku chronologicznym, skreślono starą numerację stron i wpisano nową. To ujawniało, że te materiały nie miały nic wspólnego z rzekomą teczką "Lech" i znalazły się w niej dosłownie w ostatniej chwili. Drugi przykład jest innego rodzaju. Pod koniec 1976 r., gdy rozeszły się pogłoski, że władze zamierzają siłowo zlikwidować KOR, co przekreślało możliwość ujawnienia przygotowanego przez nas ROPCiO, zdecydowałem się przesłać do tzw. Najwyższych Władz PRL memoriał, dowodzący, że nadchodzące przemiany są nieuchronne i należy tylko obniżyć ich koszty. Kopię tego memoriału przekazałem Jackowi Kuroniowi, a następnie oryginał Zbyszek Załuski zaniósł 30 grudnia do Kancelarii Biura Politycznego. Potwierdził to Wojciech Jaruzelski w książce "Stan wojenny - dlaczego?", pisząc, że w pierwszych dniach stycznia 1977 r. powielony "Memoriał" rozdano członkom Biura Politycznego do analizy. Z kolei Kuroń przekazał go Mirkowi Chojeckiemu (który przygotowywał wydawnictwo KORu), a ten opublikował "Memoriał" jako pierwszą pozycję tworzonego wydawnictwa "NOWa". Dotarł on również na emigrację, powoływała się na niego "Kultura" paryska. Z bezpieczeńką nie miało to nic wspólnego, przesłuchujący mnie w tym czasie płk Maj - szef III Wydziału KS MO, nie miał pojęcia, że jakiś mój memoriał do władz istnieje. W 1984 r. oryginał dołączono - zapewne nie czytając go, do zbieranych materiałów. Chodziło o wypełnienie te czki, aby ją zarejestrować w archiwum. Zawartość nie miała znaczenia, chodziło jedynie, aby ją zarejestrować w archiwum jako teczkę TW, co pozwalało każdemu funkcjonariuszowi SB prowadzącemu sprawę operacyjną dowiedzieć się kartę E-15, że byłem długoletnim TW. Takich teczek w MSW nie brakowało, masowo je produkowano, zwłaszcza fabrykowanych w latach '50.

Pośpiesznie sfabrykowaną teczkę skierowano do archiwizacji w Biurze "C" 9 lipca 1984 r., lecz zapomniano uprzedzić tamtejszych funkcjonariuszy, że to trefny materiał. Stąd wzięły się dopiski na karcie ewidencyjnej - i wstrzymanie archiwizacji. Zaalarmowani, zapewne wysocy zwierzchnicy, nie bawiąc się w sprawdzanie szczegółów, nakazali teczkę archiwizować taką, jaka jest. Z parodniowym opóźnieniem wobec ogłoszonej 21 lipca amnestii, trafiła ona do archiwum. Siedziałem już samotnie w Barczewie, gdy 4 sierpnia

bezpieczniacy przejechali po mnie i przewieźli do Komendy MO w Olsztynie, gdzie moja eskorta czekała na telefoniczną decyzję Warszawy. Nadeszła ona przed wieczorem - lecz nie miałem pojęcia, że właśnie archiwizowano przypisywaną mi teczkę, nie usuwając z niej dopisków, dowodzących, że jest fałszywa.

12. Trwający blisko dwadzieścia lat mój proces lustracyjny nigdy nie osiągnął stanu wystarczającego, aby dowieść przekonywująco, że byłem tajnym współpracownikiem bezpieczeństwa. Najpierw przez blisko dziewięć lat archiwa bezpieczeństwa były szczelnie zamknięte, a osoby pomówione przez Macierewicza o współpracę z SB nie miały możliwości obrony przed coraz szerzej rozchodzącym się przekonaniem, że wszyscy z nich to płatni zdrajcy. Gdy wreszcie rozpoczęła się lustracja, objęta została ścisłą tajemnicą. Jawność procesu umożliwia kontrolę społeczną postępowania, jej brak pozwala oskarżycielom, nie tylko sądowym, ujawniać tylko to, na czym im zależy. W dodatku procedury lustracyjne początkowo praktycznie uniemożliwiały obronę i łamały nie tylko normy kodeksu postępowania karnego, lecz również Konstytucję. Oskarżał nie prokurator, tylko tzw. rzecznik interesu publicznego (nieznana wcześniej, niekonstytucyjna instytucja), postępowanie przygotowawcze prowadził sędzia - członek zespołu sądzącego (co było zakazane przez Kodeks Postępowania Karnego) i tylko on miał dostęp do materiałów archiwalnych, z których wybierał jedynie te, które wspierały oskarżenie. Proces był tajny, aby publiczność nie wiedziała, jakich to zbrodni dopuścił się lustrowany. Miał on dostęp do akt sprawy tylko w tajnej kancelarii. Znajdowały się tam jedynie materiały starannie wybrane przez oskarżenie. Prawie wszystkie istotne były odbitkami kserograficznymi, co uniemożliwiała wykrycie fałszerstwa. Lustrowany otrzymywał tam teczkę o ponumerowanych stronach, gdzie mógł zapisywać uwagi, ale której nie wolno mu było z sobą wynieść; przechowywano ją w kasie pancernej.

Przewodniczący pierwszego składu sądu w I procesie sędzią Bareja po zapoznaniu się z zebrany materiał dowodowy dostrzegł jakieś cienie na odbitce kserograficznej karty ewidencyjnej i zażądał bardziej czytelnej. Wówczas okazało się, że są tam odręczne dopiski. Ostatecznie to one stały się kluczowym dowodem, żeteczka "Lech" była sfalszowana, lecz bardzo długo traktowaliśmy to jako dowód mniejszego znaczenia. Po prostu przez większą część tego długotrwałego postępowania nie mieliśmy dostępu do wszystkich akt, w tym do innych procesów lustracyjnych, które wyprowadziłyby nas z błędu.

Innym posunięciem Barei było skierowanie rzekomo mojego podpisu do ekspertyzy w wydziale kryminalistycznym MSW. Wynik otrzymaliśmy w pierwszych dniach stycznia 2000 r.: podpis jest fałszywy. Powstało całkowite zamieszanie. Proces przerwano na pół roku, a sędziego Bareję odwołano, zaś rzecznik interesu publicznego oskarżył go, że był tajnym współpracownikiem SB. Zarzut odrzucono w obu instancjach sądowych, lecz nie przyzwyczajony do takich praktyk sędzia podczas odczytywania drugiego wyroku uniewinniającego dostał ataku serca i zmarł. Pierwsza ofiara lustracji.

Drugi zespół I procesu lustracyjnego prowadził sędzia Rysiński. Wyrok był uniewinniający, a co równie ważne, teczkę "Lecha" udało mu się odtajnić, co m. in. pozwoliło mi wydać książkę pt "Lustracja". Niestety, ciągle istniejących praktyk lustracyjnych nie wolno było opisać.

II proces lustracyjny prowadziła jawnie stronnicza sędzina X. Na widok świadków bezpieczniaków rozpromieniała się, gdy świadków - byłych opozycjonistów, traktowała z pogardą. Ponieważ nie podobała się jej ekspertyza grafologiczna, zwróciła się do biegłego z UW z pytaniem, czy możliwe jest, że lustrowany sam sfalszował swój podpis? Nie przeszkodziło to sędzinie napisać w uzasadnieniu wyroku skazującego, że - obok innych kłamstewek, obaj biegli zgodnie stwierdzili wysokie prawdopodobieństwo podpisu. Ponieważ domagałem się przedstawienia oryginału karty ewidencyjnej z dopiskami, sędzina X dokonała

tego nawet nie po zamknięciu postępowania dowodowego, lecz dopiero po wystąpieniach końcowych stron - a więc poza procesem.

Z kolei, Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, do którego się zwróciłem, uchylił wyrok skazujący, co potwierdził Sąd Najwyższy. Ponieważ podtrzymałem wniosek przeprowadzenia lustracji, sprawa trafiła do Sądu Okręgowego w pierwszej instancji. Tym razem postępowanie było rzetelne, choć po zmianach politycznych w Polsce w 2015 r. zaczęło się wyraźnie przedłużać.

Jedyna moja krytyczna uwaga dotyczy wadliwej kolejności. Na wstępie szeroko przedstawiłem dowody, świadczące o fałszywości teczek "Lecha", lecz sąd ich rozpatrzenie przesunął na później, rozpoczynając postępowanie dowodowe od zbadania teczki personalnej. Tym samym milcząco uznano, żeteczka jest wiarygodnym dowodem. Ponieważ pojedynczych fałszerstw również nie badano, trzeba byłoby udowodnić, że wszystkie informacje znajdujące się w niej są fałszywe. A przecież większość była prawdziwa - tyle, że przepisana z innych akt. Przykładowo, po ogłoszeniu wyroku w sprawie "Ruchu", rozmawiałem o tym z Barańskim - kolegą Andrzeja Czumy z wydziału prawa UW w zatłoczonej "Świteziance" i może jakiś ubek nas podsłuchał, lecz nie był to dowód współpracy z SB. Cierpliwie czekałem, aż dojdzie do badania fałszów.

A na to się nie zanosilo. Ponieważ zarzuty oskarżenia stawały się coraz bardziej absurdalne (biegli z IPN dowodzili, że fałszywateczka jest prawdziwa, bo została sporządzona zgodnie z obowiązującymi regułami - jakby fałszerze nie potrafili fałszować), zrozumiałem, że toczy się gra o przeżycie. Ponieważ dość dawno przekroczyłem granicę przeciętnego życia mężczyzny, oskarżyciele mieli zapewne nadzieję, że umrę przed zakończeniem procesu lustracyjnego - jako człowiek, który nie był w stanie obronić się przed zarzutem współpracy z SB. To spowodowało, że postanowiłem przerwać proces w dwudziestą rocznicę jego rozpoczęcia - 25 marca 2019 r., (a zarazem w 42 rocznicę powołanie Ruchu Obrony). Los jednak chciał inaczej. Stan mojego serca znacznie się pogorszył i konieczna była operacja prowadzona w jego wnętrzu o dużym stopniu ryzyka. Odrzuciłem rozwiązanie połowiczne, czyniące ze mnie inwalidę, ale skróciłem też czas trwania lustracji, cofając wniosek o jej przeprowadzenie wiosną 2018 r. Nastąpiło to w momencie, gdy sprawa lustracyjna była już faktycznie rozstrzygnięta: stosowana przez IPN zasada, że o fałszywości teczki świadczy brak odnotowania w trzech różnych miejscach karty ewidencyjnej została upubliczniona, a zrozpaczony Barański przyznał, że o wszystkich, prowadzonych również ze mną rozmowach raportował człowiekowi, który był jednym z najgroźniejszych informatorów SB.

Blisko dwudziestoletni proces lustracyjny został zakończony postanowieniem Sądu, stwierdzającym, że od tej pory w pełni korzystam, jak każdy uczciwy obywatel RP z domniemanie niewinności.

* * *

Nie wszyscy to uznają. Szanuję wielce zasłużony Uniwersytet Jagielloński i przykro mi ujawnić, że pojawiły się tam praktyki na poziomie najgorszych nieuków z IPN. Grzegorz Wołk złożył pracę i uzyskał stopień doktora za elaborat, w którym prawda i fałsz, są tak bardzo przemieszane, a we fragmentach oszczercze, że PT promotor i recenzenci nie byli w stanie tego rozróżnić. Nowo mianowany doktor nauk pracował ponoć nad tematem obejmującym genezę i dzieje Konfederacji Polski Niepodległej wiele lat, lecz nie starczyło mu czasu, aby porozmawiać z żyjącymi jeszcze twórcami i przywódcami tej pierwszej od blisko półwiecza jawnej i niezależnej partii politycznej, jedynej działającej otwarcie przez ostatnią dekadę istnienia PRL. Łatwiej było mu sięgnąć po to, co miał pod ręką - teczkę sporządzoną przez bezpiekę. Przyjmijmy roboczo, że była prawdziwa. Niestety, nikt mu nie wytłumaczył, czym sąteczki SB. To niewątpliwe źródła historyczne, ale szczególnego

rodzaju. Prowadzący teczkę policjant czy funkcjonariusz tajnych służb - takich jak UB/SB, obowiązany jest odnotować każdą uzyskaną informację, nawet jeśli jest przekonany, że jest nieprawdziwa (bo może się mylić). Tak powstajeteczka, niezbędna dla prowadzenia śledztwa, lecz nie będąca jego rezultatem. Błędy są przemieszane z prawdą, nieraz w stopniu całkowicie dyskryminujący całą teczkę. W dodatku, w praktyce często się zdarza, że prowadzący ją funkcjonariusz nadmiernie skraca otrzymaną wiadomość, wypaczając jej sens, albo ułatwia sobie pracę, łącząc przekazy pochodzące od różnych osób, mylnie je odczytując czy przekręcając. Występuje też zła wola: dawca albo odbiorca informacji świadomie je fałszuje. To wymaga, aby wszystkie zapiski policyjne - a do nich należą te czki i inne zapiski UB/SB podlegały niezbędnej weryfikacji wewnętrznej i zewnętrznej.

Nie zamierzam tutaj pisać podręcznika, jak to czynić, zakładając, że znają je doktoranci, a także osoby ubiegające się o dyplom magistra. Zwrócę tylko uwagę na szczególne zjawisko, wskazujące, że sama weryfikacja często nie wystarcza. Są przecież badacze dobrze przygotowani i zdolni do pełnego przedstawienia zweryfikowanych informacji, którzy ulegają często milczącemu i nigdzie niesprecyzowanemu obowiązkowi ukazywania i oceniania faktów *szlusznych*, choć całkowicie nieprawdziwych. Odwołam się tutaj do zdarzeń zbiorowych, aby uniknąć podejrzenia, że kogoś bronię czy fałszywie oskarżam. Otóż chyba wszyscy zgodzą się, że służby terroru PRL, zarówno UB jak SB, działające na rozkaz *władzy ludowej* lub bezpośrednio Moskwy, dopuszczały się zarówno masowych, jak jednostkowych zbrodni oraz fałszerstw. Były to dwa główne zakresy działania. Z przyczyn, których nie potrafię ani zrozumieć, ani w pełni zidentyfikować, w Rzeczypospolitej Polskiej - państwie niepodległym i demokratycznym, niektóre zbrodnicze i fałszerskie ustalenia organów i instytucji PRL uznane zostały za usprawiedliwione i - może najważniejsze - nie kłamliwe, lecz prawdziwe. Nie mam tu na myśli tzw. polityki historycznej, w zależności od potrzeb danej partii czy środowiska przedstawiającej w nieprawdziwym świetle jakieś zdarzenia z terażniejszości czy przeszłości - lecz oczywiste kłamstwa, którym z nieznanых powodów już po 1989 r. trwale nadano wszelkie znamiona prawdy. Przypomnę dwie sprawy. W pierwszych dniach lipca 1946 r. doszło w Kielcach do pogromu Żydów. Najwyższe władze PRL powołały specjalną komisję, która stwierdziła, że rozruch był spontaniczny, ponieważ w Kielcach antysemityzm jest bardzo silny. Ale cóż innego ta rządowa komisja, działająca w okresie stalinowskiego terroru mogła stwierdzić, w miarę uczciwie podchodząc do sprawy? Że reakcja światowej opinii publicznej na niewątpliwie sfałszowane referendum (30 czerwca) była tak silna, że trzeba było ją przykryć innym wydarzeniem, w dodatku przedstawiającym Polaków w jak najgorszym świetle? Że Kielce, z racji swego rzeczywistego antysemityzmu pasowały najlepiej, aby przede wszystkim - godząc się na zamordowanie niewinnych ludzi, spowodować (w tłumie byli milicjanci i zapewne funkcjonariusze UB) antysemickie rozruchy oraz zapewnić im czas na swobodne dokonanie okrutnych mordów? Komisja orzekła, co jej kazano. Druga sprawa. Gdy Gomułka w nie przemyślanym wystąpieniu na konferencji w Moskwie w 1961 r. naraził się wszechmocnemu Nikicie Chruszczowowi, a co gorsza obecni tam również jego najbliżsi współpracownicy po powrocie do kraju zaczęli rozgłaszać sensacyjne rewelacje ujawnione przez genseka (m. in. że Berię zamordowano na posiedzeniu Biura Politycznego KPZR) sytuacja stała się nieprzyjemna. Aby usprawiedliwić się przed Nikitą Siergiejewiczem konieczne było znalezienie winnego i przykładowe ukaranie - i to takie, które za wystarczające uzna ten kat Ukrainy z lat '30. Rzecz jasna musiał być to człowiek z kręgów niezbyt przychylnych aktualnej władzy. Wybór padł na Henryka Hollanda, który dowiedział się o rewelacjach Chruszczowa w tym samym czasie co tysiące warszawiaków - i, jak oni, powtarzał to innym. Co gorsza, nie ukrywał, że jest rewizjonistą. Znałem go - i to z najgorszej strony, jeszcze z Uniwersytetu, ale cenilem jego późniejszą, uczciwą ewolucję. Spotkaliśmy się przypadkiem parę tygodni przed opisywanymi wydarzeniami, miał już spory brzuszec i w

niczym nie przypominał mistrza sportu. Teraz - nieświadom, stał się głównym winowajcą pogorszenia stosunków z Kremlm i - co stwierdziła komisja ministerialna, tak się tym zarzutem przejął, że - mając za plecami esbeka, wdrapał się na parapet półotwartego okna i wyskoczył. Spadły mu okulary i leżały przy ścianie domu, a Holland - niczym prawdziwy olimpijczyk, poszybował siedem metrów dalej. To nie było wypchniecie z okna - wówczas leżałby blisko ściany. Trzeba było czterech silnych mężczyzn, aby rozhuścić tego ciężkiego, mocno tęgiego mężczyznę i wyrzucić na taką odległość. Powołana przez władze komisja orzekła jednak zdecydowanie: Holland popełnił samobójstwo. I do dzisiaj jest to niepodważalna prawda. W czym interesie - nie wiadomo. Łatwiej odnaleźć i ocenić podobne dogmaty w środowiskach, które tego potrzebują chociażby ze względów politycznych.

W przypadku Wołka nie mamy do czynienia z takimi wielkimi problemami. Wpływają na niego niewątpliwie różne *szusne prawdy*, ale prowadzi swoje badania na znacznie niższym poziomie. Najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, że temat, który sobie wybrał, wymaga uświadomienia sobie - jeśli nie opisanie, w jakiej, zmieniającej się przecież szybko rzeczywistości powstała i działała KPN, czym różniła się od innych opcji opozycyjnych, jak była traktowana przez władze. Wymagało to wykorzystanie co najmniej podstawowych źródeł, nie tylko związanych z KPN, lecz także obserwujących opozycję niepodległościową z różnych pozycji. Bez analizy publikowanych dokumentów Konfederacji, a i wcześniejszego Ruchu Obrony, a także wyjaśnień twórców i przywódców tych formacji było to raczej niemożliwe. Nie wystarczała nawet interesująca, ale przypadkowa relacja działacza młodzieżówki z ostatnich lat istnienia PRL, przy pełnej niewiedzy, skąd, kiedy i jak stworzony został ten ważny członek opozycji demokratycznej. Wrywkowe i dość szerokie opisy niektórych fragmentów dziejów opozycji niepodległościowej (a nie reformatorskiej!), nawet najobszerniejsze, nie wystarczają przecież, aby odtworzyć dzieje i sens istnienia Konfederacji.

Zadziwiająca, jak na historyka *in spe*, jest niechęć Wołka do badania źródeł historycznych. Pismem świętym dla niego stała się fałszywa teczka bezpieki - której weryfikacji ani nie chciał, ani nie potrafił przeprowadzić. Mniej go interesowały inne źródła, okazujące również często rzeczywistość często fałszywą, lecz podważające rewelacje tej najpierwszej. Przypomina mi się rozmowa z innym pracownikiem IPN, który po wydaniu "Lustracji" powiedział mi, że w bibliotece tej instytucji jest kilka egzemplarzy mojej książki, ale on jej nie przeczyta, bo nie chce podważyć własnego przekonania. *Szusne* dla danego środowiska przekonania nie przeszkadzają jednak w zasięgnięciu informacji choćby u osób, których nikt o nic złego nie podejrzewa, lecz Wołk nie miał na to czasu. To samo było z licznymi innymi powszechnie dostępnymi źródłami, w tym dokumentami RO i KPN oraz relacjami osób działających w opozycji. Zamiast przeprowadzić wymagające pewnego wysiłku i przygotowania wywiady z uczestnikami wydarzeń, sięgnął do źródła wtórnego, dość przypadkowego zbioru różnej wartości materiałów, zarówno opracowań jak wspomnień - "OPINII nurtu niepodległościowego".

19 kwietnia 2021 roku